Lwów 31. Lipca. Nr 90. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Zł. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za na step. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

XIII.

POJEDYNEK.

(Ciąg dalszy.)

Z obrzydzeniem i trwogą odwrócił się Robert od pijących. Ogarnęło go jakieś nieokreślone, trwożliwe uczucie którego nie mógł ani pojąć ani zrozumieć. Widział ohydną intrygę ludzi bez serca, lecz pogarda jego dla nich była tak wielka, że wiedząc o tej intrydze niechciał z tego wcale korzystać. Bolało go tylko kilka słów zasłyszanej rozmowy, a gdy je rozbierać począł, ujrzał siebie i swoje marzenia z nieznanej dotąd strony. Bolało go niemniej, jakim sposobem mógł się prócz niego, ktoś poważyć spojrzeć na Julią z podobnem marzeniem, jakim sposobem mogła Julia bez jego wiedzy uczynić na kimsić wrażenie, i bawić się z nim nauką, która pochodziła od niego, była jego własnością: słyszał jak najwyraźniej, że Julia prócz rozumu i serca żąda form światowych, ogłady towarzyskiej, a gdy sobie przypomniał widok z poddasza, uznał jej żądanie za słuszne, lecz uznał oraz, że jego postać najmniej temu żądaniu odpowiedzieć może. Zdawało mu się, że się zbyt nierozważnie w swoich marzeniach zapędził i że w tej chwili ujrzał się nad przepaścią, kiedy już dla niego ratunku nie było.

W Julii widział on teraz zwykłą kobietę, która mimo wzniosłych uczuć, pięknej duszy i chęci jak najlepszych, niemoże się jednak oderwać od form i warunków towarzystwa, niemoże się wznieść wyżej nadto, do czego lgną dzieci tego świata. Nieweszła ona z nim w świat duchów, bo tam niebyło dla jej serca posiłku, a serce żyje chętnie na ziemi! To też snadź niezrozumiało go jej serce, a gdy jej myśl złączona z jego myślą ponad poziom się wznosiła, błąkało się jej serce po ziemi, pieszcząc się jej kwiatami. Robert niezrozumiał tego serca i nieuwzględnił jego potrzeb, mógłże się więc dziwić, jeżeli to serce od niego się odwróciło?

Blask imienia, o jakiem niegdyś marzył, mógł go wprawdzie wznieść nad te przesądy towarzyskie i postać jego osłonić pewnym urokiem, ale dotąd niespełniły się jego marzenia. Społeczność niewiedziała o nim, a nawet przy owczesnych jej wyobrażeniach niebyło nadziei, aby kiedy zasługi uczonego młodzieńca uznać miano! Nauki wyższej nieoceniono a nawet niezrozumiano, a oddający się jej z pobudek szlachetnych młodzieniec przebolał nieraz tę gorzką chwilę zwątpienia, w której wierzył, że życie jego poszło krzywo. Świat rzeczywisty ciężał na jego skroni koroną cierniową, lecz silny duchem myślał, że ta cierń męczeńska otoczy postać jego powabem wybranych. Inaczej się jednak stało. Społeczność znała go tylko z jego ciała, z jego szat zewnętrznych, a miasto męczeńskiej na skroni korony, widziała tylko ubóstwo, czasem godne politowania, a najczęściej śmieszne. Jedna Julia mogła inaczej nań patrzeć, ale dzisiaj dowiedział się biedny młodziniec, że i Julia jest córką tego świata. Inaczej nawet być niemogło. Serce to kwiat ziemi, a chociaż woń jego ku niebu się wznosi, ziemia jednak musi go żywić i zasilać.

Do takich smutnych kontemplacyj przyszedł jeszcze Robertowi na myśl pamiętnik Kazimierza. Rzucone tam myśli przemawiały dzisiaj do przekonania poety, a gdy się w życie po za siebie oglądnął, przestraszył się, że dotąd ten świat rzeczywisty w grubej mgle przed nim spoczywał, a gdy się dzisiaj ta mgla rozwiała, ujrzał, że go dzielą od niego nieprzebyte przepaście.

— Jest praca, powtarzał w duchu, której owoc dopiero za grobem zakwita, a ja chciałem z tego owocu za życia używać, wierzyłem w owoc, gdy jeszcze latorośli nie ma!...

Pogrążonego w tak smutne marzenia zbudził służący, a położywszy przed nim mały liścik, wyszedł spiesznie z pokoju.

Robert spojrzał na pieczątkę.

Wyobrażała ona kłosy zboża, a pod niemi był napis:

Toujours agitée et jamais abattue!

Była to ulubiona dewiza Julii.

W sali było już pusto, jedna tylko świeca dogorywała na wysokim świeczniku, a po sąsiadach Roberta zostały tylko ślady, butelki potłuczone.

Robert zbliżył się do świecznika.

Ręka mu drżała, gdy pieczęć rozłamywał. Miał czytać list od Julii!

Nadziejo! ty w sercu skazanego budzisz marzenia w przededniu jego śmierci!

Wreszcie rozłamał pieczęć.

Rumieniec i bladość występywały z kolei na jego lica.

Czytał list Julii.

Zwolna uciekało życie z jego twarzy marmurowej, tylko w oku zapalił się jakiś ogień dziwaczny. Usta mu posiniały, ręka zlodowaciała.

Spojrzał wokoło, nikt na niego nie patrzał. Tylko na ustach drzemiącego kelnera widział uśmiech szyderczy, a w migającym na świeczniku płomyku widział szczątki dogorywających swoich marzeń i nadziei!...

Grobowa cisza sali była mu nieznośną, zabrakło mu powietrza, zapragnął burzy, która za oknem szumiała, bo w tej burzy mógł tylko serce uciszyć, lub je o głazy roztrzaskać.

Wziął kapelusz i wybiegł.

Deszcz lał strumieniem, błyskawice oświecały co chwila lasem otoczoną dolinę, a grom piorunu odbił się stokrotnie po złamanych ścianach gór skalistych. Czarne szmaty chmur przeciągały po niebie, które wyglądało jak szata żebraka, stargana, obdarta.

Rozśmiał się Robert, patrząc na to niebo. Niegdyś jak żebrak błagał skarbów tego nieba, okiem żądz wyższych wpatrywał się w jasny, przejrzysty jego błękit, a dzisiaj to niebo odziało się w potargane żebraka łachmany i udaje ubóstwo, aby proszącemu odmówić. Dzisiaj wygląda to niebo jak jego stargane nadzieje, a z pozostałych szmat dawnej świetności uderza pocisk śmierci!...

Poraz pierwszy uczuł potrzebę wylania przed kimś swojej boleści, odprawienia spowiedzi, w którejby mógł się ze wszelkich swoich tajemniczych grzechów wyspowiadać, a świat ten, świat, którym pogardzał, błagać o rozgrzeszenie. Wszystkie jego marzenia, nadzieje, które w sercu swem wykarmił, nieuwzględniając świata i ludzi, nieuwzględniając tego co uświęciły wieki i tradycja, wydały mu się dzisiaj grzechami śmiertelnemi, na które może już niema rozgrzeszenia.

A któż mógł być jego spowiednikiem? Julia? Ta uprzedziła wyznanie jego i pierwsza uczyniła spowiedź. Kazimierz? Tego niebyło, a gdy się biedny poeta po swojem ubiegłem życiu rozglądał, nieznalazł nikogo, ktoby go chciał słuchać i zrozumieć.

Westchnął i spojrzał w okno na dachu, zkąd poraz pierwszy na świat przyjaźnie się popatrzał, a gdzie teraz jego przyjaciel przemieszkiwał.

Zdawało mu się że ujrzał światło.

Szybko wbiegł na schody.

Przyszedłszy do drzwi, otworzył je, ale w pokoiku było ciemno. Zawołał Kazimierza po imieniu, ale nikt się nieozwał.

Dziwno, wszystko dziwno jakoś było dzisiaj.

Zaświecił świecę, która na stoliku stała i oglądał się po izbie. Wszędzie pusto. Na łóżku niebyło żadnej pościeli, żadnych rzeczy, tylko na małym stoliku stał kałamarz, koło niego leżało kilka piór i kilka kartek papieru. Na jednej z tych kartek był początek jakiegoś listu, a Robert poznał, że ten list do niego był pisany. Nic jednak z niego niemógł odczytać. Rozpatrując się dalej po pokoju, powziął to przekonanie, że Kazimierz spiesznie gdzieś odjechał, a przy natłoku uczuć dziwacznych, zostawił pokój niezamknięty. Jakiego rodzaju były te uczucia, to sobie już jakoś wytłumaczył, odnosząc je do smutnej katastrofy familijnej.

Teraz uderzyło znowu gwałtownie serce poety i przypomniało mu jego boleść. A była to boleść, w obec której musiały umilknąć wszelkie inne uczucia, była to boleść konającego serca.

Zerwał się szybko z krzesła i chwycił za serce, bo zdawało mu się, że nadybał gadzinę, która z niego zdrój życia wyssać chciała... był to list Julii.

Rozwinął go po raz wtóry, i począł go urywkami czytać:

„Drogi mój panie Robercie!...

— Ha, ha, ha, rozśmiał się dziko, jak słodko, jak lubo... o i truciznę słodzą, aby tem prędzej zabić!

....Serce moje chore, a cała nauka moja niewystarcza mi dzisiaj...

— O, serce chore, bo serce to kał ziemi, a nauka to nie kwiatki!

....dzisiaj jestem zabobonną, i wierzę w okropne, złowrogie przeczucie, a pan nauczyłeś mnie wierzyć tylko w potęgę ducha, w polot myśli...

— O kobieto! jam myślał żeś ty duchem czystym jak cherubin przed obliczem Boga, a uczucia twoje przystygają do ziemi, do przesądów świata tego, wzrok twój, to wzrok ciała, któremu to tylko piękne, co się szkli i błyszczy!

....Wprowadziłeś mnie w wyższe duchów krainy, odkryłeś przedemną skarby wiedzy i nauki, i oprowadzałeś mnie jako brat kochający siostrę swoją, a serce moje śniło spokojnie o miłej przyjaźni...

— Tak, jam ci okazał skarby nieznanych światów, myślą poszłaś za mną, a serce twoje zostało na ziemi..

....Ciche sny, złote, śniło serce moje; budziły się w niem uczucia wdzięczności i przyjaźni, a im więcej myśl mnie moja uniosła, tem smutniej było mi, widząc, że serce moje tak wysoko wzbić się niemogło!

— Kobieto, słaby, wątły duchu! ty żyjesz życiem połowicznem, jak płaz ziemi, któremu modre głębiny morza zabawką, a pleśń ziemi żywnością. Ty jesteś kwiatem pływającym na falach jeziora, a kto ręką po ciebie sięgnie, uczuje, że do ziemi przyrastasz!...

....Tyś był mistrzem moim, mistrzem, inaczej być nie mogło, a jam patrzała na ciebie z pokorą niższego ducha...

— A byłaś wyższą nademnie w chwilach natchnienia, jak anioł wyższym jest nad człowieka.

....*Lecz straciwszy cię z oczu rozraniłam serce..*

— Myśl tylko twoja była zemną, a serce, serce wtedy bić poczęło, gdyś mnie z oczu straciła!

....*Popełniam może nieprzyzwoitość, ale serce moje każe mi być szczerą dla tego, który był dla mnie mistrzem, przyjacielem... a od którego dzisiaj ratunku pragnę!*

— Ratunku!... ja mam podać im dłoń ratunku, aby patrzyć się na ich szczęście, abym wiecznie czuł kolce cierni, które mi w skronie wrosły..... O nie, nie, zawołał po chwili wstając z krzesła rzucając list na stół, co mi do tego, dla mnie już wyrok zapadł!... Że tam ktoś będzie się o nią pojedynkował, że przeczucie coś złego o tym pojedynku jej wróży, że niema spokoju i się trwoży, aby kogoś, który jej serce zranił, nie trafiła kula fatalna, cóż mi na tem dzisiaj zależy?.... któż to taki, o którego ona się trworzy?... Artur? Albin? Wiktor?... ach pewnie nie Robert, nie biedny Robert!... Ale nie, nie to był cel listu, ona chciała tylko mojem marzeniom koniec położyć!.. Wyznanie jej jest warto wzajemności, niech się dowie, że nietylko byłem dla niej mistrzem, ale byłem...

Tu wziął kartkę papieru i począł pisać.

Po kilku chwilach rzucił pióro.

— Szalonym! zawołał, i pocóż przyznaję się do szaleństwa, wszak ona dawniej o tem wiedziała, że szalone karmię nadzieje, i czekała tylko sposobności, aby mnie to powiedzieć... O człowiek to istota ziemi, a jam myślał, że on nad ziemię wznieść się musi, gdy w jego sercu iskra Boga zapłonie! Julia to anioł ziemi, otoczony jej skarbami a w blasku tych skarbów roskoszuje, jak niewinne dziecię bawi się blaskiem nikczemnych mamideł! Swiat ją policzył do swoich dzieci, a jam chciał ją wydrzeć światu i z nią w nieznane krainy odlecieć, a niewiedziałem, że mi brak skrzydeł, że ciało moje niestworzone do lotu!... Wszystko to na czem swoje marzenia budowałem, rozprysło się jak lód wiosenny! Praca moja nieprzyniosła mi żadnych owoców, moja nauka jest to talent w ziemię zakopany, społeczeństwo niezna mię, bo myśli moje mimo niego przemknęły, a uczucia serca mego wypaliły się w krainie marzeń, dokąd nikt za mną niezdążył! Samotnikiem żyłem śród świata, bo mnie się zdawało, że ten świat kiedyś szukać mnie będzie, że przyjdzie do mnie, z palmą nagrody za moje życie męczeńskie, a ja przemknąłem nieznany, niezrozumiany, a nawet od tej, której obraz w duszy nosiłem, która królową snów moich była!... O bo ta królowa była królową świata, a jam ją chciał wynieść na królową aniołów!..

Burza wzmagała się coraz więcej, a szalone jej głosy przemawiały do serca Roberta.

Wyszedł z izdebki. (C. d. n.)

CÓRA PIASTÓW.

(Ciąg dalszy.)

Babiński zamek, choć ludny i zbrojny,
Lecz mur i rycerz nie gotów do wojny.
Zwodzona brama na oścież otwarta,
Wały zarosły, ostrokół wyjęty,
Wodzowie drzemią, a żołdacka warta
W sąsiednich puszczach walczy ze zwierzęty:
Bo książe Konrad, syn Ziemowitowy,
Polubił tylko biesiady i łowy.
Niedoświadczony, zwyczajnie jak młodzian,
Ognia nad domem nie baczy — i nie wie,
Że najstraszniejsze przygasłe zarzewie,
Że wrog najbliższy, kiedy najmniej spodzian.
Jeleń wysmukły przebieżał mu drogę,
Więc postanowił spolować rogacza,
I wszystkich wodzów i całą załogę
Wezwał na łowy.
Drużyna junacza,
Barony państwa, jakby motłoch ślepy,
Marnie w ostępach łamie swe oszczepy.
Już drugi tydzień jak goście sproszeni;
Z rana za zwierzem goni się gromada,
W południe sypia w pośród leśnych cieni,
Wieczorem gwarno do uczty zasiada;
A książę wesół — zdrojami płyną
Miód Mazowiecki i Pannońskie wino.

Właśnie przy zwłokach leśnego rogala
Huczna drużyna piła pogrzebowe,
Gdy łoskot trąby odezwał się zdala,
Głuchy, niepewny, stłumion przez połowę;
Raz... drugi... trzeci... ozwały się wreszcie
Okrzyki mężów i głosy niewieście,
Konrad spojrzenie zwrócił ku drużynie:
—„Słyszycie — mówi — zkąd ten okrzyk płynie?“
—„Nie, Mości książę, wszak słuch mi się niećmi;
(Odpowie Pełko, starszy wojewoda)
„To jakaś w wiosce kłótnia między kmiećmi.
„Kończmy kielichy, bo przerywać szkoda!“
—„Czyście słyszeli te trąby rozgwary?“
(Zapytał książę Zbigniewa kanclerza.)
—„To jakiś strzelec zwoływa ogary,
„Spieszmy do lasu, bo upuścim zwierza.“
—„Widzicie łunę pożarną na niebie?“
(Rzekł ku Lassocie, staroście warowni.)
Lassota spojrzał na około siebie:
—„To nic—odpowie—to jacyś wędrowni,
„Jacyś pielgrzymi, wracając z odpustu,
„Przy drodze sobie naniecili chrustu.
„Spocznijmy raczej, miłościwy książę,

„Bo jutro rano pracowite łowy.
„Niech Wasza Miłość swój pancerz odwiąże.“
Taką dał radę starosta grodowy;
Trafiło słowo do ucha Konrada:
Odwiązał pancerz i swój oszczep składa,
A na niedźwiedni, jak w miękkiej pościeli,
Układł się Książę, plemie Ziemiowita;
Wzorem Książęcia dworzanie posnęli.
A po za lasem znowu trąba zgrzyta,
I słychać jęki zmieszane z hałasem,
I chmura dymu zawisła nad lasem.
A Trojden w zamku—już wdarł się na wały;
Powiązał straże łyczanemi sznury;
Trąby Litewskie w warowni zagrały;
Wstąpił w swe prawa zwycięzca ponury.
Litwin z okrzykiem do skarbca się wdziera,
I srebra Piastów garściami rozdziela,
Drzwi do kaplicy rozdarła siekiera,
Gdzie był złocisty obraz Zbawiciela;
Zabrano srebrne, wzorzyste ornaty,
Złote kielichy i relikwiarze;
Do nóg Trojdena padał ksiądz brodaty,
Pewien że świętość uszanować każe.
Trojden popatrzył na oblicze Chrysta:
—„To Bóg wasz? — spyta — za cóż go męczycie?“
Stanął.... podumał — i łza uroczysta
Z oczu pogańskich polała się skrycie.
I rzekł do księdza: „Ten krzyż to mi znany,
„Bo go Krzyżacy na swych płaszczach noszą;
„Pewno to przez nich Bóg ukrzyżowany,
„Bo oni męczyć gotowi z rozkoszą.
„Czemuście, pytam, stary Wajdeloto,
„Niedali wiedzieć do Litwy w tej chwili?
„Tam insze bogi — ale mniejsza o to!
„Waszego Boga mybyśmy bronili.
„Och! jak on cierpi! jak zraniony srodze!
„Za cóż go męczą ciernistą koroną?“
Tak mówił Trojden — i krzyknął na wodze,
By nic z kaplicy więcej nieruszono.
Litwa czcząc rozkaz książęcej potęgi,
Wyszła z kaplicy i dalej się wali,
W ciemne komnaty, gdzie chowano księgi
Pargaminowe z klamrami ze stali.
Jedne z nich świętsze, a oprawne suto,
Stalnym łańcuchem do półki przykuto;
Insze obite cedrowemi deski,
Pobożna ręka zebrała dokoła,
Z nich dusza ludzka ma pokarm niebieski;
A insze pracy niesłychanej potem
I piękne kunsztem wybornej skryptury,
Malował barwą, naprowadzał złotem,
Mnich Benedyktyn Święto-Krzyskiej góry;
To Chrześcijańskiej nauki filary,
Ewangelia, lub Testament stary;
A insze zasię pargaminu skręty,
Żywe świadectwo pięknej świata chwili,
To Marek Tullus, Horacy, Wirgili,
Starego Rzymu relikwiarz święty.
Rzym, chrzestna matka Lechowej krainy,
Tuląc ją k'sobie niedawnemi laty,
Podarowała ten spadek jedyny,
Jak święte krzyżmo wiary i oświaty.
Pismienne skarby Piastowie od wieka
Zbierali skrzętnie, kupowali drogo.
Ale się Litwin w książki niezacieka,
Lęka się czarów, które w nich być mogą.
Zamknięty w klamrach może tam duch jaki
Wywoła wróżbę Litwinom złowieszczą;
Kto wie — te czarne i kraśne zygzaki
W swych ostrych żądłach czy jadu nie mieszczą?
Tak się lękając nieznanej potęgi,
Trojden spoglądał na łacińskie księgi.
Wdział rękawicę — i wolumen stary
Ujął — popatrzał raz, drugi i trzeci,
I rzekł do Litwy: „Wynieście te czary,
„Puśćcie je z dymem — niechaj zło uleci!“
Więc dzika tłuszcza na księgi się miota,
Odziera klamry ze srebra i złota,
I w środku zamku suty ogień kładnie,
I skarby wiedzy rzuca nań bezładnie.
A kiedy ogień z między kart wybucha,
Gdy się pargamin kurczy i popieli,
Litwini z boku naocznie widzieli
Latającego ponad stosem ducha;
Jak biały ptaszek zwinął się w przestrzeni
Otoczon blaskiem ze siedmiu promieni.
To był zaprawdę Duch mądrości Bożej,
Z którego Swiatło, Roztropność, Odwaga;
Ten Duch skrzydlaty niemści się, niesroży,
Kiedyś go Litwa na klęczkach przebłaga;
On na jej głowę rzuci swe odblaski
Ze siedmiorakich promieni swej łaski.

Aż dotąd w zamku był rabunek cichy:
Związana warty żołnierska drużyna,
A tłum niewieści i dwa stare mnichy
Żadnym oporem niedrażnią Litwina;
Kto niedołężny, pogląda zdaleka,
Kto może uciec, trwożliwie ucieka.
Ale gdy Litwin lochów się dopyta,
Gdzie stały miody Kołodzieja Piasta,
Gdy pije stare wina Ziemowita,
W zagrzanych głowach szaleństwo urasta.
Już się zwycięzca na niewiasty miota,

Na karkach starców próbuje brzeszczota,
Podkłada ogień pod dębowe ściany,
Puszcza do okien kamienie i strzały;
Już dzikie pieśni, już trąby zagrały,
Zawył wrzask dziki z płaczem pomieszany;
A kędy stąpią zwycięzcy gwałtowni
Krew bryzga ziemię i ściany warowni.

Wtem most zatętnił — i co siła zmoże.
Pędzą z ostępu strzelcowie Konrada,
Zbrojni w oszczepy i myśliwskie noże; —
Pełko piorunem na Litwiny wpada,
Tratuje końmi ich w pół-pjane głowy,
W szerokie piersi wpędza sztych stalowy.
Prędko się Litwa z upojenia trzeźwi
Sygnałem trąby i krwawemi dzieły,
I bój gwałtowny zakipiał tym rzeźwiej,
Że chrobre piersi dawno go pragnęły.
W lekkich kolczugach, wymuskane Lachy,
Zwinniej harcują i mieczami sieką;
Litewskich ramion silniejsze zamachy
Zadają cięcia straszliwsze daleko.
Grzmią silne piersi, człek z człekiem się splata,
Zgrzytają miecze po pancernej blasze,
Prosta niedźwiednia i zbroja bogata
Latają w szmaty — łamią się pałasze,
Żelazne hełmy druzgocze siekiera,
Śmierć ulatuje i swe łupy zbiera. (C. d. n.)

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

II.

W LUBIENIU.

(Ciąg dalszy.)

Te ostatnie słowa rozstrzepanej Paulinki dobiły biedną Julią. Dłużej już wytrzymać nie mogła biedna, oszukana dziewczyna. Paulina zajęta własnem opowiadaniem, mało dotąd uważała na przyjaciółkę, lecz gdy teraz spojrzała na nią przestraszyła się, widząc zmianę tak okropną na twarzy Julii, bladej jak chusta, i w całej postawie dziewczyny ledwie na nogach utrzymać się mogącej.

— Dla Boga Julciu! co ci jest? zawołała Paulina, i przytrzymała wpół omdlałą.

— Słabo mi!.. tu... tu... i biedaczka wskazywała na serce i głowę.

— Zbierz wszystkie siły, moja Julciu! utrzymaj się tu chwilę..... ja poproszę mamy i wyjdziemy nie postrzeżone...

Julia nic zapewne nie słyszała, ona w tej chwili zapomniała o wszystkiem; o całym świecie, o balu, o tylu ludziach, co mogli na nią patrzyć. Ona pamiętała tylko o okropnej zdradzie, której ofiarą stało się jej serce.

— Nikczemnik! zawołała, wydarł mi wszystko, i wiarę i nadzieję..... O mój Boże!

Na szczęście nie było świadka żadnego przy tej tak tragicznej scenie, która odbyła się w framudze okna, za plecami matek i ciotek, słowem za plecami kobiet, które w podobnych przypadkach niebezpieczniejszemi są widzami od mężczyzn.

Po kwandransie przyszła Julia trochę do siebie: obrażona miłość własna dodała jej siły. Dziewczęta chciały wyjść z sali niepostrzeżone, zawiadomiwszy poprzednio matki.

I właśnie blada, drżąca jeszcze, wychodziła Julia z framugi, wsparta na ramieniu Paulinki, gdy ze drzwi bufetowych występował pan Felix, rozpromieniony radością i winem. Niósł on z tryumfalnym wyrazem talerz gliński w ręku, a na nim ułożona była piramida z rozmaitych ciast, na jakie zdobyć się mogła cukiernicza sztuka w Lubieniu. Były w tej piramidzie pączki, któremi Sebastopol bombardować było można, pirożki nadziane powidłami i bzem w miodzie smażonym, chruścik w kształcie jelenich rogów, makaroniki do których zgryzienia nie zębów, ale tłuczka trzeba było i t. d.

I posuwistym sunąc przez salę krokiem, pomknął prosto pan Felix do bladej, lecz jak bóstwo piorunujące groźnej Julii. Zatrzymał się, zachwiał nieco, z gębą otwartą i oczyma wytrzeszczonemi wpatrywał się w twarz Pauliny. I zwolna pamięć jego, jakby światło z mgły dobywające się wyplątywała się, rosla, olbrzymiała, i coraz wyraźniejszych nabierała rysów, aż nareszcie hukiem gromu zagrzmiało mu w uszach:

„Ona była z Emilią Rakowską w teatrze!"

Pan Felix skamieniał, ręce mu tylko drżały, a za niemi zatrzęsła się i smaczna piramida.... I sztuka po sztuce rozlatywała się ta sztucznie wybudowana wieża, naprzód makaronik potoczył się i zniknął na wieki w szparze posadzkowej, za nim chruścik rozleciał się na białym trzewiczku Paulińci, dalej pirożek, rozbity w upadku, ulakierował nielakierowane buty jakiegoś dandysa, a pączek, gdyby kafar przygniótł boleśnie odwieczny nagniotek ciocinego palca.

Scena ta nie długo trwała i przeszła niepostrzeżona, bo było tam więcej takich Felixów, z których każdy był zajęty swoją panią i posiadanym przez nią posagiem.

Julia bodźcem miłości własnej pobudzona, pierwsza przerwała tę niemą scenę. Wzrokiem pogardy zmierzywszy pana Chromackiego, przeszła obok niego i znikła ze sali.

Dekret wypadł! przepadłeś tym razem biedny Felixie. Oba posagi przemknęły ci się po pod nos, jak wonne potrawy pod nos głodnemu!

— O fatalne i głupie przeznaczenie: myślał pan Fe-

lix odchodząc ze sali. Trzeba żeby się te wszystkie przeklęte dziewczęta znały między sobą! To te głupie *pensje* tego narobiły. Obyś gonił za posagiem, jak ja, ty zdrajco, coś pensje wymyślił!..

W godzinę później siedział pan Felix w wypakowanym gabriolecie, otoczony burką, tłumokiem, torbą i poduszką. Odprawił sążnistego lokaja, a w miejsce zapłaty, obiecał mu swoją protekcją i wręczył *dobre* zaświadczenie steorytypowo brzmiące: służył *wiernie*, *trzeźwo i poczciwie*.

Smutną tę rejteradę odbywał on z dziwnie filozoficznem natężeniem sił. Biedak odpalony od dwóch posagów, udawał jak mógł wesołego, i dla dodania sobie większej jeszcze rezygnacyi spiewał, choć cienko, ale spiewał znanego dobrze krakowiaka:

„Zalecałem jej się całe dwie niedzieli,
„Przyszły szlochy, głupie fochy, djabli ją widzieli."

III.

WE LWOWIE.

Nauka Szpakowskiego nie poszła w las.— Felunio demokratą. — Poczciwy Exfeldfebel i Galicjanka. — Przymierze zaczepno-odporne. — Znam cię. — Zimowa jaskółka. — Pieniądze kamienne. — Najlojalniejszy sposób pozbycia się wierzycieli. — Wet za wet. — Exfeldfebel dyplomatą. — Pudel mężem. — Felunio patriotą.

Po takiem kąpielowem fiasco, biedny pan Felix nie oparł się aż w Wyżniowej. Dla pułkownikowstwa przybycie synala, pełnego nadziei, z nieudałej wyprawy, całkiem *solo* z dodatkiem tylko jeszcze więcej wychudłych kasztanów, nie było nader przyjemne; lecz cóż było robić? Pułkownik pocieszał siebie i drugich, swojem nie śmiertelnem *„Jakoś to będzie,"* a pułkownikowa pocieszała się po kobiecemu: ciągłem gdyraniem i narzekaniem na męża, i smutną nierozwagę wieku młodzieńczego, która skojarzyła to tak wedle niej *niestosowne* małżeństwo. Stara to jak świat kobiet tarcza i broń razem. A jeżeli broń, to obosieczna, a jeżeli tarcza to jędrniejsza od siedmioskórnej Achillesa.

Pan Felix! pan Felix nie ostygał tym razem w zapałach miłośnych do pożądanego posagu. O nim tylko marzył, ku niemu wzdychał, i tęsknił jak siedmnastoletni chłopiec do urojonego ideału budzących się w nim uczuć. Nadchodząca zima nawet nie zdołała ostudzić w nim tego świętego zapału, świętego zaiste, bo przecie starzy już rzymianie nazywali go: *„Sacra auri fames!"* Dwukrotne niepowodzenia swoje przypisywał zbiegowi okoliczności przeciwnych, jakie zwykle stają wielkim przedsięwzięciom na zawadzie, a po części może i brakowi jeszcze należytej praktyki w wielkiej udawania i maskowania się sztuce.

— Byłem w niej dotąd rzemieślnikiem, zostanę artystą! zawołał natchniony, jak Archimedes łapiący w swój potężnej myśli za ową dźwignię, którą miał świat z swych odwiecznych wysadzić posad.

Małe tylko dusze zrażają się przeciwnościami, dla dusz wielkich są one tylko większym bodźcem do osiągnięcia celu zamierzonego, są im moralną ostrogą na tej arenie gonitw, i wyścigów za przedmiotem pożądanym. A przecież nasz bohater nie darmo był synem wielkiego pułkownika! Jako pułkownikowicz poczuł w sobie kolosalną duszę! Szczęśliwe to poczucie! które się już niejednemu wydarzyło, skończone niestety! poronieniem,

Owoż uczeni, którzy tyle rzeczy i mądrych i głupich gadać i pisać mają w zwyczaju, powiedzieli pomiędzy innemi rzeczami, że wielkich ludzi wielkie przymioty przechodzą na następców. Ażali to jest apodyktyczną prawdą, jako nieuczony utrzymywać nie będę, i powiem tylko: że gdy pułkownik, jak go już poznaliśmy, wielkim był strategikiem, nic naturalniejszego nadto, że jego pierworodny syn nie wątpił wcale o swoim geniuszu strategicznym. Jakoż postanowił po głębokim namyśle, zmienić w nowej kampanii plan całej wyprawy, inne zająć pozycje, z nowego stanowiska przypuścić atak, i nowe zebrać siły posiłkowe.

Placem nowej kampanii miał być Lwów w czasie karnawału.

Najtrudniejszą była kwestya o owe siły posiłkowe, do których należy ten *nervus belli*, trzykroć przez sławnego Montekukullego nazwany: złotem, złotem, złotem. I o te się postarał jenialny nasz bohater. Znalazł on w miasteczku jednego jeszcze starozakonnego, oczywistego fatalistę, wierzącego jeszcze w gwiazdę pułkownikowicza, który pożyczył mu coś pieniędzy na drogę, odebrawszy w zamian, wexel, tysiące przysiąg i przyrzeczeń. A we Lwowie to już przecie da sobie radę. Nie darmo obeznany jest z życiem miejskiem, którego rozmaite tajemnice zgłębił on jeszcze, gdy chodził w Wiedniu *po za* szkołę politechniczną. We Lwowie są przecie żydkowie, sławni z cywilnej odwagi w pożyczaniu, są nareszcie adwokaci, umiejący z hipoteki najwięcej wypróżnionej wycisnąć jakiś ostatni cień pewności niby to tabularnej.

Z takim więc zapasem myśli, planów, doświadczenia i nadziei, nasz bohatyr wyjechał do stolicy galicyjsko-lodomerskiej pierwszych dni stycznia roku następnego. Tym razem przybył całkiem *incognito*, a więc zamiast do Żorża wjechał do „Zajazdu podolskiego." (C. d. n.)

Krótkie wiadomości z dziejów piśmiennictwa polskiego zebrał M. Ł.

Warszawa. Nakład Natasona 1855 r. w 8ce stron 472, str. X rejestru i 4 kartek.

Pod tym tytułem wyszło niedawno dziełko na które zwracamy uwagę czytelników... Jestto dziełko bez żadnej

cechy, mogącej autorowi onegoż zjednać jakikolwiek zaszczyt, ale dla osób mało obznajomionych z piśmiennictwem lat ostatnich będzie bardzo pożyteczne, bo jedyne w tym rodzaju, ze względu na wymienione prace autorów z ostatniego lat dziesiątka.

Co autor pisze o początkach piśmiennictwa polskiego aż po rok 1800. (str. 1 do 186.) pozbawione jest interesu, bo to wszystko znajdujemy lepiej obrobione, we wszystkich innych bibliografiach. Okres 7. od r. 1801 do 1828. zajmuje kompilacją więcej interesowniejszą, ale dopiero od str. 348. do końca dzieła rozwija się rzeczywistszy interes książki, bo na tych stu stronnicach poskupiał autor ważniejsze artykuły ulotne innych autorów i z nich skleił jaką taką całość, pozostawiającą niezmiernie wiele do życzenia, jednakże formującą mozaikę, mogącą dać wyobrażenie o ruchu literackim, rozwijającym się na całym obszarze Pòlski.

Czytając jednak dzieło to przychodzi myśl bolesna, jak może się podobny fabrykat ukazywać w Warszawie, w tem ognisku ruchu literackiego? Czyliż nie umiemy się zdobyć nigdy na nic lepszego, nad podobne spekulacyjne, improwizowane dzieje literatury? czyliż na takich poprzestać musimy, i wysługiwać się niemi, w braku innych sumienniejszych ?.

Niedawno, bo przed laty trzema wydał Rafalski katalog książek polskich od r. 1830 do 1850. Miały być nim objęte wszystkie książki polskie z tego okresu, a zbieracz nie podał ich ani połowy, z podanych zaś mnóstwo źle poprzepisywał. Dzisiaj podobnież ukazują się dzieje literatury w jednym tomie, mieszczą mnóstwo nazwisk i dzieł, a nie mieszczą ani cząsteczki samoistnej myśli sklejacza tej książki, bo wszystkie myśli, które za swoje podaje, wszystkie rozumowania i oceniania pisarzy, czynione niby przez siebie są przepisywane z gazet i pism periodycznych, a to bez wyboru i bez spojenia ich zręcznego.

Dziwnem się też wydaje całe utworzenie tej książki dla osób znających dokładnie wszystko, co jest zamieszczanem po różnych pismach warszawskich i naszych. Rozpoznają oni w niej bez żadnej trudności, iż dzieło to można rozebrać na cząsteczki i przydzielić je różnym piórom, najrozmaitszym stylom, a dla autora prawie nic, a może i nic w dziale by się nie dostało. Połowa należy się autorom, z których twórca książki czyni obszerne wyciągi i sam ich powołuje; są to krytycy znani i szacowni jak: Siemieński, Kaczkowski, Pol, Mecherzyński, Tyszyński, Kraszewski, Grabowski. Niemi autor wyręcza się, zasłania, i dobrze czyni skoro sam nie umie zdobyć się na zdanie wyrozumowane i krytyczne. Drugą atoli połowę książki stanowi mozaika zdań najrozmaitszych, zeszytych na jedno zdanie, niby wypowiedziane usty autora książki. Naturalnie, że zdania te przepisywane z różnych pism i zestawione ze sobą lub poprzegradzane, stają się częstokroć najsprzeczniejszemi, gdy obecnie mają pochodzić od jednej osoby.

Zarzucił autor *Chodynieckiemu*, że ten w swoim dykcyonarzu pisarzów nie objawił swojego zdania ale przepisywał cudze. Chodyniecki przynajmniej nie taił się z tem, i nie ukrywał źródła zkąd czerpał, tu zaś autor wszystko z niezwykłą śmiałością podaje za swoje. — Weźmy tylko jeden przykład, z pomiędzy bardzo wielu:

Autor miał pod ręką dziennik literacki lwowski z roku 1854, czasopismo, które w obręb królestwa nie wstępowało. Otóż z korespondencyj do tego dziennika, przepisuje całe stronnice i całe kartki o pisarzach i ich pracach, przepisuje dosłownie, tak nawet, że i nie zmienia w nich omyłek druku, a nawet i tych pobieżnych zdań, które tylko z okoliczności powiedziane były, ale w skład książki o literaturze nie powinnyby wchodzić. — Przekona o tem porównanie Nrów dziennika literackiego z drugiej połowy roku 1854. z następnemi całkowitemi stonnicami dziełka o literaturze, mianowicie, gdy oceniani są ci pisarze: *Lucyan Siemieński* (str. 364 — 5.) — *Winc. Pol* (str. 366 — 8 i 371.) — *Kaczkowski Zygmunt* (str. 396 — 497.) — *A. Kuszel* (399 — 400.) — *Ambr. Grabowski* (str. 412 — 413.) — *Mecherzyńscy Karol i Hieronim* (str. 437 — 7.) — *E. Janota* (str. 446.) — *Kremerowie, Józef, Karol i Aleksander* (str. 448.) *Helcel Zygm. Ant.* (str. 454.) — *Cukrowicz Aleksander* (str. 456 — 7.) *Brzeziński Paweł* (str. 460.) — *Dr. J. Józef Majer* (str. 469 — 470.) i tam dalej.

O tych pisarzach podawane zdania autora, nie są czem innem jak przepisaniem żywcem zdań z korespondencyj w jedenastu numerach Dzien. lit. z r. 1854. Nr. 30-40. zawartej. Tak jak autor nie umie nic powiedzieć o autorach krakowskich, postępuje sobie z ocenieniem innych pisarzy. Jakżeż więc spodziewać się tutaj trafności i sumienności sądu?... Rzeczywiście trzeba posiadać potężną *dozis* śmiałości, aby wyrokować o tem, czego się nie czytało, ale też nie mniejsza odwaga i sztuka wydrukować grubą książkę o literaturze i literatach, a prawie nic w niej własnego nie podać, choć wszystko umieć udać jako własne. Przykra to rzecz gdy szarlatanerja i spekulacja usiłują się zagnieździć w literaturze, sprawią one chaos a dla naukowości nie przyniosą pożytków.

Powiedzieliśmy o ujemnej stronie książki, dla przestrogi tych, którzy zawcześnie chcą rwać się do pisania dzieł sporych, a nie zaopatrzą umysłu swego i wyobraźni, gruntownemi studjami, gruntowną znajomością rzeczy tak, aby z powodu ubóstwa umysłowego, nie potrzebowali uciekać się do szczudeł, cudzą wystruganych ręką; a zarazem wmawiać, że stąpają o własnej sile, skoro co kroku zdradza ich brak sił i nieudolność, zmuszające ich do szukania cudzej podpory. Niechby przynajmniej nie zakrywali tego, a uniknęliby nie jednego potknięcia.

Rozmaitość.

* W niedzielę, w wilię urodzin Cesarzewicza Karola Ludwika, odbyło się na strzelnicy strzelanie do tarczy; z południa o godzinie 3. przybył Najdostojniejszy Arcyksiąże, gdzie był przyjmowany od towarzystwa strzelców i raczył kilkanaście wystrzałów zrobić i sam wręczył strzelcom swój fotografowany portret, któren towarzystwo jako pierwszą premią za wystrzał najlepszy przeznaczyło. Wieczorem była wielka serenada wykonana przez dwie bandy muzyki wojskowej.

* Wczoraj w dzień urodzin Cesarzewicza Karola Ludwika odbyło się nabożeństwo solenne w Archikatedrze. JE. Arcybiskup celebrował in pontificalibus. JO. Ks. Schwarzenberg jenerał komenderujący, z wszystkiemi jenerałami i całym korpusem oficerów, stany, wszyscy urzędnicy i obywatele miejscy znajdowali się na tymże. Msza kompozycyi Diabellego. Wieczorem o godzinie 9ej wyjechał Arcyksiąże na Bukowinę; obiedwie ulice prowadzące od szerokiej ulicy ku teatrowi otrzymały nazwy i napisy „wyższa i niższa ulica Karola Ludwika;“ wieczorem były świetnie oświetlone i objechał je Arcyksiąże, a co 30 kroków z obu stron greckie ognie zajaśniały.

* Za dwa tygodnie Arcyksiąże spodziewamy z powrotem. Ekwipaże jutro odchodzą do Wiednia.

* W wilią urodzin, Cesarzewicz Jego Mość został mianowany jenerał-majorem i gubernatorem Tyrolu i Vorarlbergu.

* Przeszłego piątku Cesarzewicz konno udał się do Dublan, gdzie go członkowie komitetowi przyjmowali. Dla deszczu karetą wracał.

Przyjechali od dnia 27. do 29. Lipca do Lwowa.

PP. Drohojewski Eustachy z Lukawicy. Nowosielski Ludwik z Zbora. Krajewski Leon z Terewy wołoskiej. Friedberg Jan z Bolechowa.

PP. Kielanowski Tytus z Zeiechowa. Golejewski Kornel hr. z Czortkowa. Kalinowski Władysław hr. z Bakowiec.

PP. Głogowski Antoni z Bojanieć. Kotkowski Apolinary z Hawłowieć. Ustrzycki Włodzimierz z Dubkowiec. Bogdanowicz z Krakowa. Zamojski Adam hr. z Krakowa.

Wyjechali od dnia 27. do 29. Lipca ze Lwowa.

P. Marmarosz Józef z Kamionki.

PP. Dzieduszycki Jan hr. do Stryja. Lityński Jan do Krekhowa. Nowosielski Ludwik do Żbora. Baworowski Włodzimierz hr. do Tarnopola. Harasek Władysław do Brodów.

PP. JEx. hr. Gołuchowski do Stryja. Krasicki Kajetan hr. do Bartatowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 30. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$119\frac{5}{8}$	Pożyczka 5%	$76\frac{11}{16}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$87\frac{3}{8}$	Akcye banku	957	
Londyn za 1 funt szterl.,	11 38	Kolej północna	1990	
Medyolan za 300 lirów	$118\frac{1}{2}$	Obl. ind.	70	
Paryż za 300 franków .	140	Nowa pożyczka z loterya	$98\frac{13}{16}$	
Agio duk. ces.	$24\frac{3}{8}$	Pożyczka narodowa . .	82	

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	34	złr.	5	kr	36
Dukat cesarski	„	5	„	36	„	5	„	40
Półimperyał zł. rosyjski . .	„	9	„	36	„	9	„	40
Rubel srebrny rosyjski . . .	„	1	„	50	„	1	„	52
Talar pruski	„	1	„	45	„	1	„	48
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	„	1	„	20	„	1	„	22
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	93	„	40		93	„	45
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		69	„	40	„	70	„	—
5 proc. pożyczka narodowa		82	„	15	„	83	„	—

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**